

STEPHEN KING



Ciebie też porwie.

TO



Film na podstawie powieści w kinach.

ROZDZIAŁ 1

Po powodzi (1957)

1

Z tego, co wiem, koszmar, który nie miał się zakończyć przez całe dwadzieścia osiem lat (jeżeli w ogóle się skończył), zaczął się od małej łódki zrobionej z gazety i puszczonej w rynsztoku. Okręcik zakółsał się na wodzie, uniósł się, ominął dzielnie zdradzieckie wiry i kontynuował swój rejs przez Witcham Street w stronę światła przy skrzyżowaniu Witcham i Jackson. Tego jesiennego popołudnia 1957 roku światła na skrzyżowaniu oraz te w domach były wyłączone. Padało przez cały tydzień, a dwa dni temu do ulwy dołączyła jeszcze silna wichura. Od tej pory w większej części Derry zabrakło światła i jak dotąd stan ten się nie zmienił.

Mały chłopiec w żółtej kurtce i czerwonych kaloszach biegł radośnie obok gazetowego okręcika. Deszcz nie przestał padać, ale nieco osłabł. Nareszcie. Wielkie krople bębniły w żółty kaptur nieprzemakalnej kurtki chłopca, a odgłos ten przypominał mu dudnienie deszczu o dach szopy... Lubił ten dźwięk. Chłopiec nazywał się George Denbrough. Miał sześć lat. Jego brat William, znany dzieciom ze szkoły podstawowej w Derry (oraz nauczycielom, którzy jednak nigdy nie zwróciliby się do niego w ten sposób) jako Bill Jąkała, leżał w łóżku, pokaszując, złożony fatalną gripą, która na szczęście powoli zaczynała już mijać. Tej jesieni 1957 roku, osiem miesięcy przed rozpoczęciem prawdziwego koszmara, dwadzieścia osiem lat przed ostatnią jego odsłoną. Bill miał dziesięć lat.

To Bill zrobił okręcik, obok którego biegł teraz George. Zrobił go, siedząc na łóżku oparty plecami o stos poduszek, podczas gdy ich matka grała w salonie na fortepianie *Dla Elizy*, a deszcz bębnił nieustannie o szyby okna sypialni. Mniej więcej na wysokości trzech czwartych ulicy w stronę skrzyżowania i wyłączonych światła Witcham

Street była zablokowana dla ruchu przez grudy błota i cztery pomalowane na pomarańczowo drewniane kozły. Na każdym z nich widniał napis: DEPARTAMENT ROBÓT PUBLICZNYCH DERRY. Za nimi można było dostrzec wydobyte z kanałów przez deszcz gałęzie, kamienie i wielkie, lepkie sterty jesiennych liści. Woda z początku poczyniała sobie ostrożnie, dopiero na trzeci dzień zaczęła przebierać miarę. Do południa czwartego dnia przez skrzyżowanie Jackson i Witcham zaczęły przepływać odwalone kawałki asfaltu, przypominające maleńkie tratwy pośród strumieni białej, spienionej wody. Do tego czasu wielu ludzi w Derry już opowiadało nerwowe dowcipy o budowie arki. Departament Robót Publicznych zdołał utrzymać Jackson Street otwartą, ale Witcham była nieprzejezdna od kozłów aż do centrum miasta.

Wszyscy jednak zgodnie twierdzili, że najgorsze już minęło. Poziom Kenduskeag w Barrens obniżył się znacznie i sięgał parę cali poniżej cementowych brzegów kanału, przepływając przez centrum miasta. Teraz więc grupka mężczyzn — a pośród nich również Zack Denbrough, ojciec George'a i Billa — zaczęła usuwać worki z piaskiem, którymi dzień wcześniej w pośpiechu obłożono brzegi kanału. Jeszcze wczoraj podwyższenie stanu wód, a co za tym idzie fala powodzi, wydawały się niemal nieuniknione. Bóg wiedział, że to już się przytrafiło w 1931 roku. Katastrofa, która wówczas nastąpiła, kosztowała miliony dolarów i prawie dwa tuziny istnień ludzkich. To było dawno temu, ale wciąż jeszcze żyło sporo ludzi, którzy pamiętali owo wydarzenie wystarczająco dobrze, aby wystraszyć pozostałych. Jedną z ofiar powodzi znaleziono dwadzieścia pięć mil na wschód, w Bucksport. Ryby zeżarły nieszczęśnikowi oczy, trzy palce, penisa oraz większą część lewej stopy. W rękach, a właściwie w tym, co z nich pozostało, ścisnął kurczowo kierownicę fordą.

Teraz jednak poziom wody opadał, a kiedy w górze rzeki ruszy nowa hydroelektrownia z tamą, problem w ogóle zniknie. Tak w każdym razie twierdził Zack Denbrough, który pracował dla Bangor Hydroelectric. Nie było sensu martwić się przyszłymi powodziąmi. Należało przetrwać obecną, przywrócić miastu prąd, a potem zapomnieć o wszystkim. W Derry zapominanie o tragediach i katastrofach było nieomal sztuką, o czym Bill Denbrough dowie się z czasem.

George zatrzymał się tuż za drewnianymi kozłami, na skraju głębokiej szczeliny wyrwanej z asfaltowej nawierzchni Witcham Street. Biegła ona niemal dokładnie ukośnie. Kończyła się po drugiej stronie ulicy, nieco na prawo, około czterdziestu stóp w dół wzgórza od miejsca, w którym się teraz znajdował. Roześmiał się w głos — radosny, samotny śmiech dziecka rozjaśnił nieco szarość tego ponurego

popołudnia, podczas gdy prąd płynącej wody wprowadził jego papierowy okręcik na serię małych katarakt tworzonych przez wyrwy w asfalcie. Rwąca woda żłobiła kanał, który biegł wzdłuż ukośnej szczeliny, toteż okręcik zaczął przepływać z jednej strony Witcham na drugą, a prąd niósł go tak szybko, że George musiał podbiec, aby za nim nadążyć. Woda bryzgała spod jego kaloszy błotnistymi strumieniami. Ich zapęćcia brzęczały radośnie, podczas gdy George Denbrough biegł na spotkanie swojej dziwnej śmierci.

Uczuciem, które go w tej chwili przepełniało, była czysta i prosta miłość do brata, do Billa... miłość i żal, że Bill nie mógł tu być, aby to zobaczyć i stać się tego częścią. Oczywiście spróbuje mu to opisać, kiedy wróci do domu, ale wiedział, że nie zdoła zrobić tego tak obrazowo, jak by to zrobił Bill, gdyby był na jego miejscu. Bill był dobry w czytaniu i pisaniu, ale nawet sześciolatek George wiedział, że jego brat zbierał same piątki nie tylko z tego powodu i nie tylko dlatego, że nauczyciele lubili jego styl. Bill nie dość, że świetnie opowiadał, to na dodatek był doskonałym obserwatorem.

Okręcik przemknął śmiało wzdłuż kanału biegnącego po przekątnej i chociaż zbudowano go ze strony wyrwanej z lokalnej gazety, George wyobrażał sobie, że to prawdziwy okręt marynarki wojennej z jednego z filmów wojennych, które czasami oglądał z Billem na sobotnich seansach filmowych. Z filmu, w którym John Wayne walczył z Japończykami. Spod dziobu okrętu trysnęły strugi wody, kiedy przyspieszył, a potem dotarł do rynsztoka, po lewej stronie Witcham Street. W tym miejscu świeży strumień spływający po wyrwie w asfalcie tworzył spory wir i chłopiec miał wrażenie, że okręcik musi się tu przewrócić i zatonać. Papierowa jednostka przechyliła się na bok, a kiedy powróciła do pionu, na twarzy George'a pojawił się radosny uśmiech. Okręcik popłynął dalej, w stronę skrzyżowania. George pobiegł za nim. Nad jego głową szumiał październikowy wiatr, przemyskając pośród gałęzi drzew niemal całkiem pozbawionych już — wskutek wichury — brzozenia różnokolorowych liści. O tak, w tym roku wiatr był bezwzględny i surowym żniwiarzem.

2

Siedząc na łóżku, Bill skończył okręcik, ale kiedy George sięgnął po niego, brat odsunął go.

— Teraz daj mi p-p-parafinę.

— Co to jest? Gdzie to jest?

— W p-p-piwnicy n-na d-dole — rzekł Bill. — W p-pudełku z

napisem „G-g-gulf”. Przynieś mi to i nóż, i m-miseczkę. I p-pudełko z-z-zapałek.

George posłusznie poszedł po żądane przedmioty. Słyszał, jak matka nadal gra na fortepianie — tym razem nie *Dla Elizy*, lecz coś, co nie podobało mu się tak bardzo — a deszcz nadal brzdąkał miarowo o szyby. Uważał te odgłosy za przyjemne, ale schodzenie do piwnicy wcale nie było miłe. Ani trochę. Nie lubił piwnicy ani schodzenia do niej po schodach, bo zawsze wyobrażał sobie, że tam, na dole, w ciemnościach, coś na niego czyha. Rzecz jasna, to głupio tak myśleć — co zgodnie twierdzili jego ojciec, matka, a nawet Bill — ale pomimo wszystko... Nie lubił nawet otwierać drzwi, aby włączyć światło, bo zawsze mu się zdawało (a to było już zupełnie irracjonalne, więc nie zwierzył się z tego absolutnie nikomu), że kiedy sięgnie w stronę kontaktu, jakaś potworna, zakończona szponami łapa wciągnie go w tę ciemność cuchnącą kurzem, wilgocią i zapachem gnijących warzyw.

Bzdura! Istoty o palcach zakończonych szponami, pokryte futrem i przepehnione żądzą mordu nie istnieją! Zdarzały się wypadki, kiedy ktoś dostawał ataku morderczego szału i zabijał parę osób — o takich rzeczach opowiadał czasem Chet Huntley w *Wiadomościach* — no i rzecz jasna istnieli też komuniści, ale w ich piwnicy na pewno nie mieszkali żaden niezwykły i krwiożerczy potwór. Mimo to zawsze było tak samo. W tych trwających bez końca chwilach, kiedy sięgał w stronę kontaktu prawą ręką (lewa zaciskała się kurczowo na framudze), woń z piwnicy zdawała się przybierać na sile i wypełniać cały świat. Zapachy kurzu, wilgoci i dawno zgniłych warzyw mieszały się z sobą, tworząc jedyny w swoim rodzaju odór — odór potwora, apoteozę wszystkich potworów. To była woń czegoś, co nie miało nazwy, woń tego skulonego, przyczajonego w ciemności i gotowego do skoku stwora, który przełknąłby wszystko, ale największą ochotę ma zawsze na świeże dziecięce mięso.

Tego ranka George otworzył drzwi i sięgnął ręką do przełącznika (co trwało w nieskończoność), jak zwykle trzymając się lewą ręką framugi i zaciskając mocno powieki. Koniuszek języka wystawał mu z kącika ust jak usychający korzeń, który szuka wody na pustyni. Zabawne? Pewno. Oczywiście, że tak. Patrzcie na George’a! George boi się ciemności! Smarkacz!

Z pomieszczenia, które ojciec nazywał pokojem, a matka salonem, dochodziły dźwięki fortepianu. Brzmiały jak muzyka z innego, odległego świata. Palce odnalazły włącznik światła. Ach!

Przekręcił go. I nic. Ciemność. Kurczę. Nie ma prądu! George cofnął rękę tak gwałtownie, jakby wsadził ją do koszyka pełnego węży.

Uciekł od otwartych drzwi piwnicy, a serce waliło mu w piersi jak oszałałe. Nie było światła — to jasne — zapomniał, że nie było światła. O Jezu! I co teraz? Wrócić i powiedzieć Billowi, że nie znalazł pudełka z parafiną, bo nie ma światła, a poza tym bał się, że coś mogłoby go złapać, gdyby schodził po schodach — coś gorszego niż psychopatyczny morderca czy komuniści — istota o wiele groźniejsza i zabójcza? To coś mogłoby wysunąć swoją oślizgłą, gnijącą część niczym mackę przez szczelinę pomiędzy stopniami schodów i schwycić go za kostkę. Bo przecież mogłoby. A może nie? Inni może by się z tego śmiali, ale nie Bill. Nie on. Bill by się wkurzył. Powiedziałby: „Dorośnij, George... chcesz okręcić czy nie?”.

Jakby w odpowiedzi na jego myśli z sypialni dobiegł głos Billa.

— U-u-umarłeś t-tam, G-george?

— Nie, zaraz przyniosę, Bill — odparł natychmiast.

Zataił dłońmi ramiona, żeby usunąć z nich gęsią skórę i żeby znów zrobiły się gładkie.

— Po prostu zatrzymałem się, żeby się napić wody.

— To się p-p-pospiesz!

Zszedł cztery stopnie, serce biło mu w piersi jak młot, włosy zjeżyły się na karku, oczy miał rozszerzone, przepełnione zgrozą, dłonie zimne jak lód, a w głębi duszy czuł, że lada moment drzwi się zamkną, odcinając go od białego światła płynącego z okna kuchni, a potem usłyszy To, coś gorszego niż wszyscy komuniści i mordercy razem wzięci, gorszego niż Japońcy, gorszego niż Hun Attyła, a nawet setka filmów grozy połączonych w jeden.

To ryknie gardłowo — a on usłyszy ten warkot i ryk na parę szalonych sekund przedtem, nim To rzuci się na niego i wypruje mu flaki.

Odór piwnicy był dziś ze względu na powódź gorszy niż kiedykolwiek. Ich dom znajdował się niemal na szczycie wzgórza przy Witcham Street i udało im się dzięki temu uniknąć najgorszego, ale w miejscach, gdzie pośród starych fundamentów nastąpił przeciek, nadal stały kałuże wody. Woń była ostra i nieprzyjemna — tak że musiał oddychać bardzo płytko. George, najszybciej jak mógł, przejrzał stos gratów na półce. Stare pudełka z pastą Kiwi, szmaty do czyszczenia butów, zbita lampa naftowa, prawie pusta butelka windeksa, stara, płaska puszką wosku „Żółtów”.

Z jakiegoś powodu ta puszką przykuła jego uwagę i niemal przez pół minuty wpatrywał się jak zahipnotyzowany w wizerunek żółwia na wieczku. Potem odłożył ją na półkę... i wreszcie znalazł małe kwadratowe pudełko z napisem „Gulf”. Schwycił je i pędem wbiegł po schodach, nagle zdając sobie sprawę, że skrawek koszuli wysunął

mu się ze spodni, a to może przyczynić się do zguby. Istota z piwnicy pozwoli mu przebyć prawie całą drogę na górę, a potem złapie go za ten skrawek materiału i szarpnie z całej siły do tyłu... Wpadł do kuchni i zatrzasnął za sobą drzwi. Huknęły gwałtownie. Oparł się o nie plecami, miał zamknięte oczy, pot wystąpił mu na ręce i czoło, dłoń zaciskała się kurczowo na pudełku z parafiną. Fortepian ucichł i chłopiec usłyszał głos swojej mamy.

— George, czy mógłbyś następnym razem zamykać drzwi trochę głośniej? Może wtedy uda ci się stłuc parę talerzy w kuchni, tylko musisz się dobrze postarać.

— Przepraszam, mamó! — krzyknął.

— George, ty niezdaro — rzucił Bill ze swojej sypialni. Powiedział to cicho, żeby matka nie mogła go usłyszeć.

George zachichotał. Jego strach zniknął — opuścił go tak łatwo, jak koszmar opuszcza człowieka, który się budzi skostniały i zdyszany, który czuje swoje ciało i rozgląda się wokoło, aby się upewnić, że nic, o czym śnił, nie zdarzyło się naprawdę, a potem z miejsca zaczyna o tym zapominać. Zanim jego stopy dotkną podłogi, niepamięć ogarnia już połowę jego sennej zmory; kiedy wyjdzie spod prysznica i zacznie wycierać się ręcznikiem, dojdzie do trzech czwartych, a zanim skończy śniadanie, zapomni wszystko. Aż do następnego razu, kiedy w uścisku koszmaru przypomni sobie swoje lęki. Ten żółt, zastanawiał się George, podążając w stronę szuflady w szafce, gdzie trzymano zapalki. Gdzie ja wcześniej widziałem tego żółwia?

Ale nie uzyskał odpowiedzi i zbył pytanie milczeniem. Wyjął z szuflady pudełko zapalek, wziął nóż z przegródki (trzymając ostrze przezornie z dala od ciała, tak jak go uczył tata) i małą miseczkę z kredensu w jadalni. Potem udał się z powrotem do sypialni Billa.

— A-ale z ciebie d-dupek, G-george — powiedział Bill łagodnym tonem i odsunął na bok niektóre z przedmiotów i medykamentów znajdujących się na jego nocnym stoliku, pustą szklanekę, dzbanek z wodą, chusteczki do nosa, książki, butelkę vicks vapo rub, która towarzyszyła mu zawsze, kiedy był chory albo choćby miał katar. Wiedział, że nigdy nie zapomni tego zapachu. Było tam też radio, stare Philco, ale nie płynęły z niego dźwięki muzyki Chopina czy Bacha, tylko jednej z piosenek Little Richarda... głos był przyciszony i mogło się zdawać, że Little Richard został do reszty obdarty ze swej mocy. Ich matka, która studiowała pianistykę w klasie fortepianu, nie cierpiała rock and rolla. Nie tylko nie lubiła — po prostu go nienawdziła.

— Nie jestem dupkiem — rzekł George, siadając na skraju łóżka Billa i kładąc przyniesione rzeczy na nocnym stoliku.

— Jesteś — odparł Bill — wielkim dupkiem z wielką brązową dziurą. To właśnie ty.

George próbował sobie wyobrazić dzieciaka, który był jedną wielką dupą na nogach, i zachichotał.

— Masz dziurę w tyłku większą niż Augusta — powiedział Bill i też zaczął chichotać.

— A ty większą niż cały stan — odparł George. Później zapanowała blisko dwuminutowa cisza.

Kiedy wreszcie znów zaczęli rozmawiać, mówili szeptem i była to rozmowa, która znaczy bardzo niewiele dla każdego prócz dwóch małych chłopców. Klócili się, kto jest większym dupkiem, kto ma większy tyłek i bardziej brązową dziurę i tak dalej. W końcu Bill powiedział jedno z zakazanych słów, oskarżając George'a, że jest wielkim zasranym dupkiem, i obaj wybuchnęli radosnym śmiechem. Śmiech Billa zmienił się w kaszel. Kiedy się w końcu uspokoił (a jego twarz — ku przerażeniu George'a — nabrała śliwkowego odcienia), fortepian znów przestał grać. Obaj spojrzeli w kierunku salonu w przekonaniu, że kłapa fortepianu lada chwila zostanie zamknięta, a w korytarzu rozlegną się kroki mamy. Bill zakrył usta ręką, tłumiąc kaszel i jednocześnie pokazując w stronę dzbanka. George nalał szklankę wody, a jego brat wypił ją do dna.

Fortepian znów zaczął grać — ponownie *Dla Elizy*. Bill Jakała nigdy nie zapomniał tego utworu i nawet po latach wywoływał on u niego gęsią skórę. W takich chwilach miał wrażenie, że jego serce przestaje bić, i przypominał sobie: Moja matka to grała w dniu, kiedy umarł George.

— Będziesz jeszcze kaszlał, Bill?

— Nie.

Bill wyjął z pudełka chusteczkę higieniczną, chrząknął, splunął w nią flegmą, zmiął ją w kulkę i wrzucił do kosza na śmieci stojącego przy łóżku, w którym znajdowało się już wiele podobnych kulek. Potem otworzył pudełko z parafiną i odwróciwszy je, wyłożył zawartość na dłoń. George przyglądał mu się z uwagą, ale nic nie mówił ani o nic nie pytał. Bill nie lubił, jak brat mu przeszkadzał, ale George wiedział, że jeżeli tylko będzie trzymał język za zębami, brat i tak wszystko mu wyjaśni. Zwykle tak postępował.

Bill odkroił nożem mały kawałek parafiny, włożył go do miseczki, a potem położył na wierzch parafiny zapaloną zapalkę. Obaj chłopcy patrzyli na mały żółty płomyczek, podczas gdy słabnący wiatr raz po raz chłostał deszczem okno.

— Trzeba zaimpregnować okręciak, w przeciwnym razie przesiąknie i zatonie — wyjaśnił Bill.

Kiedy był z George'em, jękał się rzadko lub wcale. W szkole jednak bywało czasem tak kiepsko, że w ogóle nic nie mógł z siebie wykrztusić. Nie umiając się z nim porozumieć, koledzy odchodzili, podczas gdy Bill, ściskając dłońmi krawędź stołu, z twarzą niemal równie czerwoną jak włosy i oczyma zmienionymi w szparki, próbował coś powiedzieć. Nieraz mu się udawało, kiedy indziej zaś ponosił klęskę. Gdy miał trzy lata, został potrącony przez samochód i siła uderzenia rzuciła go na ścianę budynku. Był nieprzytomny przez siedem godzin. Matka powiedziała, że to przez ten wypadek zaczął się jękać. George czasami miał wrażenie, że ojciec — a nawet sam Bill — w to nie wierzyli.

Kawałek parafiny prawie całkiem się roztopił. Płomień zapalki przygasał, dochodząc do końca kartonowego patyczka, robił się niebieski, aż w końcu zniknął zupełnie. Bill zanurzył koniec palca w miseczce i wyjął go z cichym syknięciem. Uśmiechnął się przepraszająco do George'a.

— Gorące — powiedział.

Parę sekund później powtórzył tę czynność i zaczął rozsmarowywać parafinę wzdłuż boków okręcika, gdzie szybko zastygła, tworząc mlecznobiałe grube pasma.

— Mogę? — spytał George.

— Dobrze. Tylko nie poplam któregoś z koców, bo mama by cię zabiła.

George zanurzył palec w parafinie, która była dosyć ciepła, ale już nie gorąca, i zaczął smarować nim papierową łódeczkę.

— Nie tak dużo, dupku — powiedział Bill. — Chcesz, żeby zatoneła podczas dziewiczego rejsu?

— Przepraszam.

— Już dobrze. Rób d-dalej. S-spokojnie.

George skończył drugą stronę, a potem uniósł okręcik w dłoniach. Wydawał się trochę cięższy, ale nie za bardzo.

— Świetnie — ucieszył się. — Wyjdę i puszcze go na wodę.

— Tak. Zrób to — powiedział Bill. Nagle zaczął sprawiać wrażenie zmęczonego i nadal dręczzonego chorobą.

— Chciałbym, żebyś mógł pójść ze mną — oznajmił George. Naprawdę tak było. Bill czasami bywał niezdolny, ale zawsze miał najlepsze pomysły i nigdy się nie mylił. — To przecież twoja łódka.

— „Twój”, a nie „twoja” — poprawił go Bill. — Bo to jest okręcik.

— Twój.

— Ja też bym chciał pójść z tobą — odparł ponuro Bill.

— Cóż... — George przestąpił z nogi na nogę, ściskając w dłoni okręcik.

— Nałóż coś od deszczu — rzucił Bill — bo w przeciwnym razie złapiesz grypę jak ja. Najprawdopodobniej i tak się zarazisz. Ode mnie.

— Dzięki, Bill. To świetny okręcik. — I zrobił coś, czego nie robił od dawna, a czego Bill nigdy nie zapomniał: pochylił się i pocałował brata w policzek.

— Teraz to już na pewno złapiesz grypę, ty dupku — powiedział, ale mimo wszystko wyglądał na zadowolonego. Uśmiechnął się do George'a. — I odłóż to wszystko na miejsce, bo się mama wścieknie.

— Pewno. — Zabrał przyniesione rzeczy i przeszedł przez pokój z okręcikiem na wierzchu pudełka z parafiną.

— G-g-george?

George odwrócił się, aby spojrzeć na brata.

— B-bądź ostrożny.

— Pewno.

Jego czoło zmarszczyło się nieznacznie. To było coś, co zwykle mówiła mama, a nie starszy brat. Równie dziwne wydało mu się to, że pocałował Billa w policzek. Nie robił tego już od dawna.

— Pewno, że tak.

I wyszedł. Billy nie zobaczył go już nigdy więcej.

3

I teraz tutaj gonił za okręcikiem. Biegł szybko, ale woda była szybsza i okręcik mocno go wyprzedził. Usłyszał głośny szum i zobaczył, że pięćdziesiąt jardów dalej w dół zbocza woda z rynsztoka wpływała kaskadą do kanału, który wciąż jeszcze pozostał otwarty. Był to duży, ciemny półokrąg wycięty w zakręcie drogi i podczas gdy George patrzył, naga gałąź o ciemnej i błyszczącej jak skóra foki korze wpadła do paszczy otworu kanału. Zawisła tam na chwilę, a potem ześlizgnęła się na dół. Właśnie tam zmierzał jego okręcik.

— Rany koguta! — krzyknął przerażony.

Przyspieszył i przez chwilę wydawało mu się, że dogoni okręcik. Nagle poślizgnął się i upadł, rozbijając sobie kolano i wydając głośny, piskliwy okrzyk bólu. Z nowej, niemal horyzontalnej perspektywy patrzył, jak jego łódeczka okręca się dwa razy wokół osi, wpada w kolejny wir, a potem znika.

— Rany koguta! — krzyknął ponownie i uderzył pięścią w chodnik. To też zabolalo i zaczął z cicha pochlipywać. Co za głupi sposób, aby stracić taki okręcik! Wstał i podszedł do wylotu kanału. Ukłakł i zajrzał do środka. Woda, wpadając w mrok, wydawała głuchy i nieprzyjemny odgłos. To był straszny odgłos. Przypominał mu...

— Ha! — Ten dźwięk sprawił, że poderwał się jak marionetka szarpnięta za sznurki i odsunął się gwałtownie do tyłu.

Tam w dole dostrzegł parę ślepi — ślepi, jakie zawsze sobie wyobrażał, ale jakich nigdy nie widział w piwnicy. To zwierzę, przyszło mu nagle na myśl. To tylko jakieś zwierzę. Może kot, który się zabłąkał... Mimo to nadal był gotów do ucieczki, uciekłby, gdyby jego umysł nie poradził sobie z szokiem, jakiego doznał na widok tych świecących ślepi. Poczuł pod palcami szorstką powierzchnię asfaltu i rozlewającą się wokół niego cieniutką warstewkę wody. Zobaczył samego siebie wstającego i odchodzącego, kiedy nagle usłyszał głos wydobywający się z kanału. Ten głos zwracał się do niego. Brzmiał pewnie i jakby dość ciepło.

— Cześć, George — odezwał się głos.

George zamrugał i ponownie spojrzał w głąb kanału. Niemal nie uwierzył własnym oczom — to, co zobaczył, przypominało scenę z bajki albo filmu, w którym zwierzęta mówią ludzkim głosem i tańczą. Gdyby był dziesięć lat starszy, nie uwierzyłby w to, ale nie miał szesnastu lat, tylko sześć.

W kanale znajdował się kłown. Pomimo kiepskiego oświetlenia George Denbrough zdawał sobie sprawę, co widzi. To był kłown, jak w cyrku i telewizji. Prawdę mówiąc, wyglądał jak skrzyżowanie Boza i Clarabella, który (czy która — George nigdy nie wiedział, jakiej oni byli płci) mówił przez specjalną tubkę w sobotnich porankach — Buffalo Bob był chyba jedynym, który rozumiał Clarabella, a to zawsze doprowadzało George'a do pasji.

Twarz kłowna w kanale bielą, po obu stronach łysej czaszki sterczały zabawne kępki rudych włosów, a na ustach widniał wielki namalowany uśmiech. Gdyby George mieszkał tu rok później, na pewno pomyślałby najpierw o Ronaldzie McDonalddie zamiast o Bozie lub Clarabellu. Kłown trzymał w jednej dłoni pęk kolorowych balonów niczym olbrzymią kiść dojrzałych owoców, a w drugiej ręce papierowy okręcik George'a.

— Chcesz swój okręcik, George? — Kłown się uśmiechnął.

George odpowiedział mu uśmiechem. Nie mógł nic na to poradzić — był to jeden z tych uśmiechów, na które po prostu musisz zareagować.

— Pewno, że tak — odparł.

Kłown wybuchnął śmiechem.

— Pewno, że tak. To świetnie! To wspaniale! A co byś powiedział na balonik?

— No... pewno! — Sięgnął ręką... i nagle cofnął ją z wahaniem.

— Nie wolno mi niczego brać od obcych. Tak mówi mój tata.

— Twój tata bardzo mądrze mówi — powiedział kłown w kanale, wciąż się uśmiechając.

Jak mogłem przypuszczać, że jego oczy były żółte? — zastanawiał się George. Były jasne, jasnoniebieskie, koloru oczu jego mamy i Billa.

— Naprawdę bardzo mądrze. A więc przedstawię ci się. Widzisz, George, ja jestem Pan Bob Gray znany także jako Pennywise, Tańczący Kłown. Pennywise, poznaj George'a Denbrough. George, poznaj Pennywise'a. Teraz już się znamy. Nie jestem dla ciebie obcy, tak jak ty nie jesteś obcy dla mnie. Jaasne?

George zachichotał.

— Chyba tak. — Ponownie wyciągnął rękę... i raz jeszcze ją cofnął. — Jak się tam dostajesz?

— Zmiotło mnie tu podczas burzy — odparł kłown Pennywise. — Rozwaliło cały cyrk. Czujesz zapach cyrku, George?

George pochylił się do przodu. Nagle poczuł zapach orzeszków ziemnych! Gorących prażonych orzeszków! I octu! I frytek! Czuł zapach waty cukrowej i pączków, a także słaby, ale mimo to wyraźny odór zwierzęcego łajna. Czuł łagodny aromat trocin. I... I przenikający przez to wszystko smród powodzi i rozkładających się liści, i czeluści mrocznych kanałów. Ten smród był wilgotny i zgniły. Odór piwnicy. Ale inne zapachy były silniejsze.

— Oczywiście, że czuję — powiedział.

— Chcesz swój okręcik, George? — spytał Pennywise. — Powtarzam to, bo nie wygląda, żebyś chciał go odzyskać. — Uniósł go, uśmiechając się. Był w workowatym jedwabnym kostiumie z wielkimi pomarańczowymi guzikami-pomponami. Pod szyją zwisała mu jasnoniebieska muszka, a na dłoniach miał olbrzymie białe rękawiczki, podobne do tych, które zawsze noszą Myszka Miki i Kaczor Donald.

— Tak. Pewno — odparł George, spoglądając w głąb kanału.

— I balonik? Mam czerwony, zielony, żółty i niebieski...

— Czy one unoszą się w powietrzu?

— Czy się unoszą? — Uśmiech kłowna się rozciągnął. — O tak. Oczywiście. One pływają w powietrzu. Mam jeszcze watę cukrową...

George wyciągnął rękę. Kłown schwycił go za przegub.

I chłopiec zobaczył, że twarz kłowna zaczyna się zmieniać. To, co ujrzał, było tak straszne, że jego najgorsze wizje dotyczące istoty z piwnicy wydawały się przy tym słodkimi marzeniami; to, co ujrzał, zniszczyło bastion jego zdrowego rozsądku jednym ciosem szponiastej łapy.

— One pływają na wietrze — powiedziała istota w kanale zduszonym, chichotliwym głosem. Trzymała George'a za rękę w

mocnym, mackowatym uścisku i ciągnęła go w stronę potwornej ciemności, gdzie woda, pędząc, rycząc i zawodząc jak szalona, niosła swój kamienisty ładunek ku morzu. George odsunął głowę od tej ostatecznej ciemności i zaczął krzyczeć w deszczu, krzyczał opętanieczno, wznosząc twarz ku białemu jesiennemu niebu, które pochylało się nad Derry tego jesiennego dnia 1957 roku. Jego okrzyki były ostre i przejmujące; wzdłuż całej Witcham Street ludzie zaczęli wyglądać przez okna i wychodzić na werandy przed domami.

— One pływają w powietrzu — warknęło To. — Pływają, George, i kiedy znajdziesz się tu na dole ze mną, ty też będziesz pływał...

Ramię George'a opierało się na cemencie chodnika i Dave Gardener, który tego dnia ze względu na powódź nie poszedł do pracy, zobaczył tylko małego chłopca w żółtym płaszczu przeciwdeszczowym, małego chłopca, który krzyczał i wił się w rynsztoku, podczas gdy błotnista woda zalewała mu twarz i sprawiała, że wydawane przez malca odgłosy były stłumione i bulgoczące.

— Tu na dole wszystko unosi się w powietrzu — zachichotała istota, przegniły głos przeszedł w szept i nagle dał się słyszeć odgłos darcia, a potem pojawił się palący, przeraźliwy ból i George Denbrough przestał cokolwiek odczuwać.

Dave Gardener dotarł do niego pierwszy i choć zjawił się tam kilkadziesiąt sekund po jego okrzyku, George Denbrough już nie żył. Gardener schwycił go za kurtkę, odciągnął do tyłu... i sam zaczął krzyczeć, kiedy ciało chłopca obróciło się w jego rękach. Lewa strona kurtki George'a była teraz jasnoczerwona. Krew ściekała do kanału, wypływając ze strzępiastej dziury, gdzie znajdowało się lewe ramię chłopca. Spod podartego materiału wyłaniała się wypukłość przeraźliwie jasnej kości.

Oczy chłopca patrzące w górę na białe niebo zaczęły wypełniać się kroplami deszczu, podczas gdy Dave Gardener chwiejnym krokiem odszedł na bok, w stronę, z której nadchodzili już inni ludzie, zaalarmowani krzykiem George'a.

4

Gdzieś w dole, w kanałach wypełnionych nieomal do granic możliwości wartko płynącą wodą (tam na dole nie mogło być nikogo, powie później lokalny szeryf reporterowi „Derry News” tonem pełnym frustracji i wściekłości, że niemal wyczuwało się w nim bezsilność i ból; sam Herkules nie dałby sobie rady z tak szybkim i rwącym prądem), gazetowy okręcik George'a płynął pośród spowitych mrokiem nocy pomieszczeń i długich cementowych korytarzy, pośród ryczącej

i szumiącej kipieli. Przez pewien czas płynął obok martwego kurczaka, którego żółte szpony mierzyły w ociekające wodą sklepienie; potem, na jednym z rozgałęzień na wschód od miasta kurczak popłynął w lewo, podczas gdy łódeczka George'a pomknęła przed siebie. Godzinę później, gdy matce George'a aplikowano w szpitalu w Derry środki uspokajające, a Bill Jąkała siedział osłupiały, biały jak płótno i milczący na swoim łóżku, słuchając, jak jego ojciec szlocha w saloniku, gdzie w chwili wyjścia George'a z domu matka grała utwór *Dla Elizy* — okręciak wyprysnął przez cementowy otwór jak kula z lufy rewolweru i spłynął do strumienia bez nazwy. Dwadzieścia minut później znalazł się na spienionych, rwących falach rzeki Penobscot, a wysoko w górze, na niebie, zaczęły się już pojawiać pierwsze smugi błękitu. Burza dobiegła końca.

Okręciak przechylał się, kołysał i czasami nabierał trochę wody, ale nie zatonął. Dwaj bracia doskonale go zaimpregnowali. Nie wiem, dokąd w końcu dotarł, jeżeli w ogóle dopłynął gdzieś dalej — być może znalazł się na morzu i pływa tam po wsze czasy jak magiczny okręt z bajki. Wiem tylko, że po opuszczeniu granic miasta Derry w stanie Maine rażno płynął naprzód, niesiony falą powodzi, i tym samym jego rola w tej opowieści dobiegła końca.

ROZDZIAŁ 2

Po festynie (1984)

1

Później jego szlochający przyjaciel powie glinom, że Adrian nosił tę czapeczkę, ponieważ wygrał ją na stanowisku Pitch Til U Win w lunaparku w Bassey Park sześć dni przed swoją śmiercią. Był z niej dumny.

— Nosił ją, bo kochał to zasrane małe miasto! — wrzasnął jego bliski „przyjaciel” Don Hagarty do policjantów.

— Spoko, spoko, bez takich wyrazów, proszę — rzekł do Hagarty’ego funkcjonariusz Harold Gardener.

Harold Gardener był jednym z czterech synów Dave’a Gardenera. W dniu, kiedy jego ojciec odnalazł jednorękie zwłoki George’a Denbrough, Harold Gardener miał pięć lat.

Tego dnia, blisko dwadzieścia siedem lat później, miał trzydzieści dwa lata i sporą łysinkę. Harold Gardener zdawał sobie sprawę z żalu i bólu trawiącego Dona Hagarty’ego, a jednocześnie nie potrafił traktować go serio. Ten facet — jeżeli w ogóle zasługiwał na miano faceta — miał mocno uszminowane usta i satynowe obciste spodnie. Pograżony w smutku i żalu, ale bądź co bądź ciota. Podobnie jak jego zmarły przyjaciel, świętej pamięci Adrian Mellon.

— Powtórzymy to jeszcze raz — powiedział partner Harolda, Jeffrey Reeves. — Obaj wysłicie z Falcona i ruszylicie w stronę kanału. Co było dalej?

— Ile razy mam wam to powtarzać, matoly?! — Hagarty wciąż krzyczał. — Oni go zabili! Zepchnęli go z nabrzeża! Jeszcze jeden dzień, w którym mogli się wykazać swoją siłą! — Don Hagarty zaczął płakać.

— Jeszcze raz — powtórzył cierpliwie Reeves. — Wysłicie z Falcona. I co dalej?

2

W pokoju przesłuchań na końcu korytarza dwaj gliniarze z Derry rozmawiali ze Steve'em Dubayem (lat siedemnaście); w biurze kuratora na piętrze dwóch kolejnych zajmowało się Johnem „Webbym” Gartonem (lat osiemnaście), a w biurze szefa policji na czwartym piętrze szef Andrew Rademacher i zastępca prokuratora okręgowego Tom Boutillier przesłuchiwali piętnastoletniego Christophera Unwina. Unwin, który nosił sprane dżinsy, wysmarowany podkoszulek i robocze buty, płakał. Rademacher i Boutillier zajęli się nim, bo uznali — i słusznie — że jest najsłabszym ogniwem w całym łańcuchu.

— Powtórzymy to sobie jeszcze raz — rzekł Boutillier, podczas gdy dwa piętra niżej Jeffrey Reeves mówił dokładnie to samo.

— Nie chcieliśmy go zabić — wymamrotał Unwin. — To ta jego czapka. Nie mogliśmy uwierzyć, że nadal ją nosi po tym, co Webby powiedział mu ostatnim razem. I chcieliśmy go wystraszyć.

— Za to, co powiedział — wtrącił Rademacher.

— Tak.

— Johnowi Gartonowi, po południu siedemnastego.

— Tak. Webby'emu. — Unwin ponownie wybuchnął płaczem. — Ale próbowaliśmy go uratować, kiedy zobaczyliśmy, że ma kłopoty... w każdym razie ja i Stevie Dubay... nie chcieliśmy go zabić!

— Nie pierdol, Chris, daj spokój — powiedział Boutillier. — Wrzuciliście tego pedała do kanału.

— Tak, ale...

— I wszyscy trzej zgłosiliście się tu sami. Doceniamy to, prawda, Andy?

— Pewno. Trzeba mieć jaja, żeby przyznać się do tego, co się zrobiło.

— To teraz nie spieprz tego prostym kłamstwem. Chcieliście go wrzucić do kanału od chwili, kiedy zobaczyliście, jak on i jego pedalski koleś wychodzą z Falcona, tak?

— Nie! — zaprotestował gwałtownie Chris Unwin. Boutillier wyjął z kieszeni koszuli paczkę marlboro i włożył papierosa do ust. Podsunął paczkę Unwinowi.

— Papierosa?

Unwin wyjął jednego. Boutillier musiał nieźle się namęczyć, żeby utrzymać zapalną przy koniuszku papierosa, którego tamten miał w ustach, bo wargi Unwina trzęsły się niemiłosiernie.

— Ale kiedy zobaczyliście, że miał na głowie tę czapeczkę? — spytał Rademacher.

Unwin zaciągnął się głęboko i pochylił głowę, tak że przetłuszczone

włosy opadły mu na oczy, i wydmuchnął dym nosem, pokrytym gęsto wągrami.

— Tak — odparł, niemal zbyt cicho, by można go było usłyszeć.

Boutillier pochylił się do przodu, jego brązowe oczy błyszczały. Twarz przypominała oblicze drapieżnika, ale głos był miły i uprzejmy.

— Co, Chris?

— Powiedziałem „tak”. Chyba tak. Postanowiliśmy go wrzucić. Ale nie chcieliśmy go zabić. — Uniósł wzrok, aby na nich spojrzeć, na jego twarzy malowały się szaleństwo i smutek, wciąż jeszcze nie mógł pojąć ogromu zmian, jakie nastąpiły w jego życiu, odkąd zeszłego wieczoru o wpół do ósmej wyszedł z domu i wybrał się na festyn wraz z dwoma kolesiami. — Nie chcieliśmy go zabić! — powtórzył. — A ten facet pod mostem... nadal nie mam pojęcia, kim on był.

— Co za facet? — zapytał Rademacher, ale bez większego zainteresowania. Słyszeli to już wcześniej i żaden z nich w to nie uwierzył; prędzej czy później ludzie oskarżeni o morderstwo zawsze przypominali sobie, że na miejscu zdarzenia był jakiś inny facet. Boutillier miał nawet na to nazwę: Syndrom Jednorękiego, od starego serialu telewizyjnego *Ścigany*.

— Facet w kostiumie kłowna — rzekł Chris Unwin i zadrżał. — Facet z balonami.

3

Festyn pod nazwą Dni Kanału w Derry, trwający od 15 do 21 lipca, okazał się niemalym sukcesem, co potwierdzali zgodnie mieszkańcy miasta. Miał spory wpływ na morale mieszkańców, wizerunek miasta i stan jego finansów. Tygodniowy festyn urządzono z okazji stulecia otwarcia w Derry kanału biegnącego przez środek całego miasta. Kanał ten powstał, aby można nim było w latach 1884—1910 spławiać drewno, i to właśnie on sprawił, że Derry rozrosło się ponad miarę. To był wspaniały okres.

Miasto zostało oczyszczone i odnowione. Dziury w asfalcie, zdaniem niektórych nienaprawiane od lat, zostały zalane i wygładzone, jak należy. Domy wewnątrz przemeblowano, a z zewnątrz odmalowano. Najgorsze z graffiti w Bassey Park — głównie antyhomoseksualne hasła, takie jak: „Zabić wszystkie cioty!” czy „AIDS to kara boża na pedałów!” — pościerano z ławek i drewnianych ścian małego zabudowanego przejścia nad kanałem, znanym jako Most Pocałunków.

Muzeum Dni Kanału znajdowało się w trzech pustych magazynach

w śródmieściu i wypełniono je eksponatami zebranymi przez Michaela Hanlona, tutejszego bibliotekarza i historyka amatora. Najstarsze rodziny z miasta wypożyczały bardzo chętnie swoje niemal bezcenne skarby, a w czasie tygodnia festynu blisko czterdzieści tysięcy gości zapłaciło po ćwierć dolara, aby obejrzeć karty dań z restauracji sprzed stu lat, urządzenia do cięcia drewna, piły i siekiery z lat osiemdziesiątych XIX wieku, zabawki dla dzieci z lat dwudziestych XX wieku oraz ponad dwa tysiące zdjęć i dziewięć rolek filmów opowiadających o życiu Derry w minionym stuleciu. Muzeum sponsorowała Liga Kobiet z Derry, która sprzeciwiła się przedstawieniu przez Hanlona niektórych eksponatów, takich jak niesławny fotel włóczęgów, i zdjęć (na przykład Gangu Bradleya po głośnej strzelaninie). Wszyscy jednak zgodnie twierdzili, że był to wielki sukces, i nikt naprawdę nie miał ochoty oglądać staroci kojarzących się z krwawymi wydarzeniami. Lepiej było skoncentrować się na podkreśleniu dobrych rzeczy i eliminowaniu złych, jak mówi stara piosenka.

W parku Derry rozbito olbrzymi namiot, gdzie podawano napoje orzeźwiające i co wieczór odbywały się koncerty. W Bassey Park znajdowało się wesołe miasteczko — prowadzone przez członków Smokey's Greater Shows — z karuzelami i salonem gier obsługiwanymi przez tutejszych mieszkańców. Po historycznych dzielnicach miasta jeździł co dzień specjalny tramwaj, który kończył swój godzinny kurs w tej krzykliwej i miłej maszynie do wyciągania pieniędzy. To właśnie tu Adrian Mellon wygrał swoją czapeczkę, która ściągnęła na niego śmierć — papierową czapeczkę z kwiatkiem i napisem I ♥ Derry.

4

— Jestem zmęczony — rzekł John „Webby” Garton. Podobnie jak jego dwaj przyjaciele, był ubrany jak Bruce Springsteen, choć zapewne gdyby go zapytano, określiłby Springsteena mianem „pedzia” albo „cioty” i wybrał którąś z bardziej „hałaśliwych” grup heavymetalowych, takich jak Def Leppard, Twisted Sister albo Judas Priest. Rękawy niebieskiego podkoszulka były poobrywane, ukazując mocno umięśnione ramiona chłopaka. Gęste, brązowe włosy opadały mu na jedno oko, co sprawiało, że bardziej niż Springsteena przypominał teraz Johna Cougara Mellencampa. Na ramionach miał tatuaże, niezwykle symbole. — Nie chcę już nic mówić.

— Opowiedz nam o tym wtorkowym popołudniu na festynie — rzekł Paul Hughes, który był zmęczony, zszokowany i roztrzęsiony po całej tej aferze. Miał wrażenie, jakby festyn w Derry zakończył się

wydarzeniem, o którym wiedzieli wszyscy, ale którego nikt nie ośmieli się wpisać do oficjalnego programu. Gdyby tak się stało, wyglądałby on następująco:

Sobota 21.00 — Ostatni koncert zespołów liceum w Derry i Barber Shop Mello-Men.

Sobota 22.00 — Wielki pokaz sztucznych ogni.

Sobota 22.35 — Rytualna ofiara Adriana Mellona oficjalnie kończy Festyn Dni Kanału.

— Pieprzyć festyn — odparł Webby.

— Mów, co powiedziałeś Mellonowi i co on wtedy odpowiedział.

— O Chryste! — Webby przewrócił oczami.

— No, dalej, Webby...

Webby Garton westchnął i zaczął wszystko jeszcze raz.

5

Garton zobaczył, jak tamci dwaj idą objęci, chichoczący niczym dziewczyny. Na początku wydawało mu się, że to były dziewczyny. Potem rozpoznał Mellona, którego widział już wcześniej. Gdy mu się przyglądał, zobaczył, że Mellon odwrócił się do Hagarty'ego... i pocałowali się. To był krótki pocałunek.

— Rany, chłopie, chyba się porzygam — rzucił z obrzydzeniem w głosie Webby. Byli z nim Chris Unwin i Steve Dubay. Kiedy Webby wskazał na Mellona, Steve Dubay powiedział, że ten drugi typ ma, zdaje się, na imię Don i że podwoził kiedyś jakiegoś chłopaka z liceum w Derry, a potem próbował go wykorzystać. Mellon i Hagarty, oddalając się od stanowiska Pitch Til U Win, ruszyli w stronę trzech chłopaków i wyjścia z wesołego miasteczka. Webby Garton powie później oficerom Hughesowi i Conleyowi, że jego „obywatelska duma” doznała uszczerbku, kiedy zobaczył, że pieprzona ciota ma na głowie czapeczkę z napisem I ♥ Derry. Ta czapeczka była po prostu idiotyczna — papierowa imitacja kapelusza z wielkim kwiatkiem sterczącym u góry i kołyszącym się na wszystkie strony. Widok ten uraził obywatelską dumę Webby'ego jeszcze boleśniej.

Kiedy Mellon i Hagarty minęli ich, nadal obejmując się nawzajem w pasie, Webby Garton krzyknął:

— Powinienem cię zmusić, żebyś zeżarł ten kapelusz, ty w dupę jebany pedale!